

Tomasz Olszewski

Ósmy dzień stworzenia

Jeśli twoje oczy odbierają światło widzialne, to popatrz - To jest strefa. Dom wielu dziwnych ludzi i nie tylko ludzi. Patrz. Zobacysz koło. Na zdjęciu satelitarnym widać je lepiej. Idealnie okrągłe, o średnicy trzydziestu kilometrów. Pośrodku wznosi się grupa betonowych budynków. Wyglądają zimno i odpychająco. Czasami otaczają je kłęby dziwnej pary. Nocą wydzielają delikatny blask. Są funkcjonalne, ale brzydkie. Nieludzkie. Nie mają żadnych ozdób, poza literami i numerami wymalowanymi na ścianach czerwoną farbą.

Uspokój swoje nerwy, jeśli masz takowe i jesteś w stanie je sam uspokoić. To nie jest baza kosmitów, nawet jeśli nie przypomina specjalnie tego, co znasz ze swojego miejsca zamieszkania.

To stara elektrownia w Czarnobylu. A niedaleko niej wznosi się widmowe miasto. Pripiać. Ono także świeci w ciemnościach. A wokół ciągnie się step. Dwa tysiące osiemset kilometrów kwadratowych jedwabistych traw, zagajników brzoźowych i pól zdziczałego zboża. Gdzieś tam pod trawą śpią spokojnie fundamenty domów i kości ludzi, którzy żyli tu przez ostatnie siedemdziesiąt tysięcy lat: pierwszy polował na mamuty, ostatni usiłował osiedlić się tu po katastrofie. Nie brak i teraz głupców, którzy idą ich drogą.

A jeśli wejdiesz pomiędzy trawy, wetkniesz nos, o ile masz takowy i znajduje się on w takim miejscu, że jeśli go wsadzasz w trawę, będziesz widział to, co przed nim masz, zobaczysz różne drobne paskudztwa siedzące tam pośród łądyg.

Masz szczęście, jeśli żadne nie odgryzie ci organu powonienia, o ile twój nos do tego służy.

Profesor Sergiej zaskowyczał jak zarzynany knur. Poderwał się na równe nogi i machał w powietrzu rękami. Inspektor Ihor Biłyj podszedł do niego. Jego dłoń wystrzeliła do przodu i oderwała paskudztwo, które wbiło się w koniec nosa uczonego. Zmiażdżył je w dłoni, a potem otworzył ją i ciekawie zajrzał do środka. Profesor jęknął, podreptał do swojej furgonetki. Z nosa lała mu się krew. Ihor zaklął cicho. W trakcie gniewienia tego świństwa nabijał sobie w dłoń ostre jak żyłki kawałki skorupki czy też panczyka. Szlag by to trafił.

Zawsze te same problemy. Życie strefy wymykało się jego zdolnościom pojmowania. Od każdej reguły istniały setki wyjątków. Jeden z nich siedział w jego zdezelowanym łazie. Wyjątek wyglądał z grubsza jak kucyk, jeśli pominie się fakt, że poruszał się w pozycji zbliżonej do szympansa, na tylnych nogach, z rzadka podpierając się przednimi, u nóg i rąk miał po trzy palce z przeciwstawnym kciukiem i czytał akademicki podręcznik fizyki wysokich ciśnień, który dla inspektora był całkowicie niezrozumiały.

- Trzeba zdezynfekować - powiedział kuc. - To mogło być jadowne.

Tu w strefie prawie wszystko było jadowne, choć na przykład kuce nie. Profesor nadbiegł ze swojej furgonetki, niosąc pęsetę. Ihor wyjął spod siedzenia butelkę spirytusu i przemył starannie ranę.

- Proszę dać - powiedział Sergiej i położywszy dłoń inspektora na masce, zaczął zreźnie wrywać tkwiące w niej resztki.

- Bardzo boli? - zapytał kuc.

Inspektor nigdy nie był pewien, czy kuce mówią coś, bo tak myślą, czy może dlatego, że starają się dopasować do poznawanej niejako na odległość ludzkiej cywilizacji.

- Tylko trochę - powiedział.

Dziwna istota zagłębiła się ponownie w lekturze. To zawsze był problem. Z ich twarzy nic się nie dawało wyczytać. Była zanadto obca. Właśnie niemal doskonale końska. Jednocześnie zbyt niewiele odruchów było wspólnych dla koni i tych dziwnych istot, aby można było podążyć tą ścieżką. Czasami kładły po sobie uszy w zdenerwowaniu. Jeszcze gorzej było, gdy próbowało się wyczytać jakiegokolwiek emocje z ich głosu. Było to praktycznie niemożliwe. Głos kuców, tych które mogły mówią, brzmiał jak dźwięk, który wydobywa się z płyty gramofonowej wirującej na nieco zbyt szybkich obrotach. Profesor skończył pracę i patrzył przez chwilę na swoje dzieło.

- No, gotowe - powiedział wreszcie.

Na jego nosie krew już zaschła.

- Co to było?

- Powiedziałbym, że skorupiak. Małża albo ostryga.

Małża. Na samym środku suchego jak pieprz stepu, pięć kilometrów od najbliższego ciekłu wodnego. To pasowało do pokrętej przyrody strefy i jej równie pokrętych łańcuchów pokarmowych.

- Małża? - zadumał się Ihor. - W trawie?

- Trzeba będzie poszukać drugiego takiego. = W oczach profesora zapalił się ognek.

Coś takiego zapalało mu się bez przerwy. Bywał wtedy niebezpieczny. Dla siebie.

Wziął szkło powiększające i siłą grubą pęsetę i nachylił się nad trawą. Trawa była lekko przyżółcona. Wokoło panowała jesień. Ihor przesunął dłoń tak, aby ręka spoczęła wygodnie na spuście pistoletu maszynowego. Miał złe doświadczenia, jeśli chodzi o ten kawałek stepu. Nic się nie działo. Profesor poderwał się triumfalnie, trzymając w dłoni kolejne paskudztwo. Kuc odłożył książkę.

- Można zobaczyć? - zagadnął.

Profesor położył zdobycz na masce uaza. Zwierzoczułowiek wygramolił się z wnętrza i przyjrzał uważnie.

- Znamy to - wyrzucił z siebie krótkie, modulowane rzenie, które chyba było tego nazwą.

- Mój kuzyn - wydał kolejne rzenie - sprawdzał kiedyś, czy nie jesteśmy czasem mięsożerni i zjadł jednego takiego. Bardzo potem chorował.

Z imionami kuców też mieli kłopot. Wszystkie brzmiały niemal tak samo. Krótki zespół kilku dźwięków. Różniły się między sobą, ale nie na tyle, by można było je zapamiętać. Oczywiście ani Ihor, ani profesor Sergiej nie potrafili ich powtórzyć. Gdy rozmawiali między sobą i mieli pewność, że żaden kuc ich nie podsłuchuje, stosowali specjalny zespół pseudonimów nadanych w tajemnicy poszczególnym członkom stada. Oczywiście kuce wiedziały o tym i protestowały, gdy używali ich w ich obecności. System był prosty. Wiązał się z wyglądem. Tego, który był dzisiaj z nimi, nazywali Czarny, z uwagi na czarną grzywę mocno kontrastującą z żółtym umaszczeniem ciała.

Paskudztwo miało pięć centymetrów długości, pokryte było cienką chitynową skorupą. Skorupa ta składała się jak u ostrygi z dwu części, przy czym ta górna uniosła się teraz trochę i pomiędzy ostrych brzegów wyciekło kilka kropli cieczy. Lakier w tym miejscu zmatowiał w oczach. Paskudztwo wysunęło z dolnej części jakieś macki i zaczęło za ich pomocą przemieszczać się naprzód.

Niespodziewanie obok wylądowała mucha. Istota wysunęła z wnętrza dwa czółki zaopatrzone w gałki oczne i popatrzyła na nią. Następnie wysunęła rurkę i prysnęła tą samą cieczą, którą poprzednio uszkodziła lakier. Mucha szarpnęła się i zaczęła wic się w męczarniach. Upiorny skorupiak przypętlł do niej i wysunął z siebie kolejną rurkę. Owinęła się wokół muchy jak wąż i wciągnęła ją do środka.

Gałki oczne cofnęły się i skorupa zatrzasnęła się. Ihor miał ochotę roztrzaskać to coś kolbą karabinu, ale z trudem się powstrzymał. Profesor wyglądał na uszczęśliwionego. Badał papierkiem lakmusowym krople cieczy na masce.

- Bardzo silny kwas nieorganiczny - powiedział wreszcie. - Znacznie silniejszy niż siarkowy. Może na bazie związku krzemu. Fluorosilikony...

- Jak w żywym organizmie występować może kwas nieorganiczny? - zaciekał się inspektor.

- Och, to zupełnie normalne - powiedział kuc. - W twoim organizmie też występują. Na przykład w żołądku człowieka jest sporo kwasu solnego. Służy do odkażania.

Inspektor poczuł mrowienie w okolicy pępka, ale była to tylko sugestia.

- Dobrze - powiedział, patrząc na zegarek. - Wracam do roboty. - Jedziesz ze mną, czy zostajesz z profesorem?

Kuc popatrzył na swój zegarek. Inspektor nie lubił, gdy to robił. Coś się w nim burzyło, ilekroć wiedział, jak to dziwne zwierze używa przedmiotów ziemskiej techniki. A przecież lubił konie. Kiedyś.

- Pojadę z tobą - powiedział. - O ile będziesz przejeżdżał koło źródeł.

- Tak. Będziemy tam za jakieś trzy godziny. Coś mi się nie podoba na jednym ze zdjęć lotniczych.

- Coś poważnego? - zaniepokoił się profesor.

- Wygląda na nieduże laboratorium. Jest jesień. Pora zbiorów.

- Tak pora zbiorów - powiedział w zadumie profesor. - Może lepiej nie bierzcie ze sobą...

Kuc popatrzył na profesora. Trudno było określić, w którą stronę patrzy, jego oczy bowiem były dokładnie takie same jak oczy konia. Ciemne z tęczówką wypełniającą całą powierzchnię i źrenicą widoczną dopiero z bliska i pod odpowiednim kątem. Koń patrząc, odwracał lekko głowę, aby nie było wątpliwości, do kogo kieruje słowa.

- Profesorze. Mam nadzieję trochę postrzelać. Któregoś dnia to może okazać się potrzebne.

Profesor nigdy nie mógł wytrzymać jego spojrzenia. Teraz spróbował. Wpatrywali się sobie w oczy. Powiał wiatr. Jakiś paproch spadł na powierzchnię oka kuca.

Trwało to sekundę. Zadziałał odruch. Migotka wysunęła się spod powieki i zakryła na chwilę całe oko, usuwając paproch w kąt. Jednocześnie ruszyła się powieka zewnętrzna. Kuc zamknął oczy i odwrócili się w stronę samochodu inspektora.

- Jedziemy?

- Siadaj.

- Słuchaj musimy zamieniać dwa słowa - zdenerwował się profesor.

Odeszli kawałek od zwierzęcia i samochodów.

- Nie obchodzi mnie, czy miałeś trudne dzieciństwo czy nie - powiedział profesor. - Nie interesuje mnie, że nazywają cię rzeźnikiem ani to, że aresztujesz może co setnego handlarza lub producenta narkotyków, na jakiego natkniesz się w strefie. Masz wolną rękę, czujesz potrzebę serca, ja po nich płakał nie będę. Ale na Boga, te koniki wprawiają się w zbijaniu ludzi.

- Tak. Owszem. Czasami pozwalam im postrzelać do gangsterów. Co za różnica z czyjej reki zginą?

- Widzisz jest różnica. One się za szybko rozmnażają i za szybko dorastają.

- Bez przesady. Jest ich dwadzieścia kilka.

- Rok temu było kilkanaście.

- Większość to kucyki.

- Słuchaj, jak one się do nas kiedyś dobiorą, to tylko wióry polecą i ludzkość przestanie istnieć. Nie zapominaj, że ich inteligencja przewyższa naszą od trzech do piętnastu razy. Te, które mają trzysta IQ, uważane są przez pozostałe za niemal dzieci specjalnej troski.

- Jest ich za mało.

- Cortez podbił Meksyk, mając zaledwie garstkę ludzi. Podobnie Pizzaro. Nie zapominaj o tym.

Twarz inspektora zszarzała.

- A nie pomyślałeś czasem sobie, że ja to robie świadomie?

- Co?

- Że nie uczę ich sztuki likwidacji wrogów, aby kiedyś siedzieć na jakimś dachu i patrzeć sobie z radością, jak wióry lecą z ludzkości, jak byłeś to łaskaw poetycko nazwać. Popatrz na ten świat. Czy naprawdę uważasz, że taka cywilizacja powinna nadal istnieć? W Ameryce niszczy się nadwyżki żywności, by podbić ceny, a w Afryce ludzie umierają z głodu. Jeden człowiek haruje w firmie tak, aż zapracuje się na śmierć, dostanie zawału, wylewu czy czego tam jeszcze, a tymczasem setki tysięcy ludzi nie ma pracy. Gdy będą nami rządzić, każdy będzie miał przynajmniej miskę czegoś do żarcia i kąt w stajni, czy jak to się nazwą.

- Bój się Boga, Ihor!

- A czym jest Bóg? Ja jestem człowiekiem wierzącym. Może nie chodzę za często do cerkwi, ale wierzę. I wiesz, co ci powiem? Cała nasza cywilizacja, tak, ta którą zaczęli budować tu neandertalczyki ze swoimi kamiennymi ostrzami dzid, dążyła do tego celu. Do wyzwolenia odpowiedniej ilości pierwiastków promieniotwórczych, aby stworzyć ekologię strefy wraz z jej dziwnym życiem i kuce jako ukoronowanie stworzenia. Czy myślisz, że Bóg dopuściłby do ich powstania, ot tak sobie? Narodzili się z krwi i ziemi. Tak jak my. Witaj profesorze w ósmym dniu stworzenia. W dniu, w którym powstał prawdziwi władcy ziemi.

Profesor milczał wstrząśniony. Ihor odwrócił się i poszedł do samochodu.

Zatrzasnął za sobą drzwiczki. Odjechali. Profesor westchnął ciężko: Nic na to nie mógł poradzić. Choć może coś się uda. Tak. Miał pewien pomysł. Podniósł z ziemi pozostawioną przez Ihora flaszkę ze spirytusem i pociągnął ostrożnie maleńki łyk. Gardło zapiekało go żywym ogniem, ale to właśnie było mu potrzebne.

Odrobina ognia w żyłach. Odrobina wyzwolenia z wartości, które głęboko zakorzeniły się w jego umyśle.

Ihor zatrzymał uaza na poboczu szosy. Obok w szczerym stepie kępa drzew i krzewów wyznaczała miejsce, gdzie trzydzieści lat temu stała wioska.

- Czuję spaliny - powiedział kuc, wężąc w powietrzu.

Kuce miały znakomity węch. Zapewne tak dobry jak konie. Ihor zazdrościł im.

Podobnie jak zazdrościł im gracji, z jaką się poruszały.

- Nie nasze?

- Nie. Tamte są z ropy. Musi tu działać spalinowy agregat prądotwórczy.

- No to do dzieła.

Odległość od drogi do kępy drzew przebyli, czołgając się w trawie. Wieś uległa całkowitemu niemal zniszczeniu: Drewniane belki chałup przegniły i porośły mchem. Dachy wykonane z papy trzymały się odrobinę lepiej. Panowała całkowita cisza i tylko coraz bardziej natrętny zapach spalin snujący się w chłodnym, krystalicznie czystym powietrzu dawał do myślenia. Niebawem znaleźli jego źródło. Spaliny buchały z niedużego otworu w ziemi. Gdzieś opodal musiał znajdować się wąż.

- Wrzucamy granaty? - zapytał kuc.

Inspektor popatrzył na niego uważnie. Może i odgrywał człowieka pogodzonego z losem parszywej ludzkości, ale rozmowa z profesorem częściowo odzwierciedlała jego wątpliwości. Z twarzy zwierzęcia nic nie mógł wyczytać, ale wydało mu się niespodziewanie, że kuc jest podniecony. Tak jak on odczuwał fizyczną niemal rozkosz, gdy kule przeszywały kolejnego złego człowieka. Czyżby aż tak dużo przekazał im podczas wspólnych wędrówek po strefie?

- Granaty? A skąd wiemy, co robią? Może to nieszkodliwi samosielcy?

Kuc wzruszył ramionami. Gest był bardzo ludzki i nieludzki jednocześnie, bo wraz z ruchem zagrały inne mięśnie i pochylił końską głowę.

- Lamia prawo. Mieszkają tu bez zezwolenia, możemy ich zabić.

- Naprawdę? - Ihor stał się zjadliwy. - Znam takie stado, które też łamie prawo, mieszkając w strefie.

Kuc odwrócił się w jego stronę.

- My to co innego.

- Naprawdę? - powtórzył pytanie inspektor. - A czym się to do cholery różni?

- Ci tutaj to śmieci. Odpadki waszej cywilizacji - zaakcentował to "waszej". - W ostatecznym rozrachunku nie liczą się. My natomiast popychamy rozwój tej planety. Dlatego jeśli mogę zdobyć doświadczenie na eliminowaniu tych...

Rozległa się seria z karabinu. Inspektor poczuł, jak kule uderzają w kamizelkę kuloodporną i przetoczył się za kawał muru. Ten, który strzelał, wyskoczył zza drzewa i wtedy Ihor strzelił do niego z pistoletu maszynowego. W czole tamtego powstało pięć dziur ułożonych niemal koncentrycznie. Mózg ochlapał resztki ściany. Inspektor wyłuskał z sakwy granat i wrzucił go do komina wentylacyjnego.

Odturlał się w bok i założył świeży magazynek. Gdzieś pod ziemią rozległa się eksplozja. Gleba poruszyła się leciutko, ale nie wybrzuszyła się. Tamci musieli siedzieć naprawdę głęboko. Zaraz też otworzyła się kłapa zamaskowana sporym krzaczkiem rosnącym w niej jak w doniczce i z wnętrza wypełził człowiek. Miał na sobie porwany fartuch laboratoryjny i dzinsy. Krwawił z uszu i z oczu. Inspektor posłał mu kulkę, a potem zapalił latarkę i zaczął złazić na dół. Pod ziemią w sporej piwnicy została urządzona nieduża fabryczka. Inspektor widział w swoim życiu wiele takich. I równie wiele zniszczył. Wybuch rozerwał na kawałki czterech lub pięciu pracowników, resztki ciał pomieszane z roztrzaskanym szkłem i metalem pokrywały posadzkę i ściany.

Podniósł rozbity słoik wypełniony białym proszkiem. Ostrożnie zbadał jego smak. Heroina. Wyszedł z piwnicy i pochylił się nad kucem. Kuc nie żył. On nie miał kamizelki kuloodpornej. Biłyj westchnął, a potem wyjął z kieszeni krótkofalówkę. Wywołał profesora.

- Słucham - odezwał się głos uczonego.

- Mam coś, co pana zainteresuje - powiedział.

- Gdzie?

- Kwadrat dwadzieścia jeden łamane na siedemnaście Jestem w resztkach wsi. Uważaj, może być jeszcze ciepło.

- Będę za dwadzieścia minut.

Inspektor spokojnie wyjął z wozu aparat fotograficzny i zdokumentował jatki. Potem wrzucił do wnętrza ziemianki dwa granaty. Zawaliła się. Ciał nawet nie próbował wyciągać. To nie miało znaczenia. Przyjechał genetyk.

- Co się stało? - zapytał.

Ihor pokazał mu ciało konia leżące opodal.

- Dał się zabić - powiedział ze spokojem. - Chciałeś zdaje się pokroić jednego takiego?

Profesor pobladł i zatoczył się na ścianę. Oparł się dłonią o rozchlapany na niej mózg. Porzygał się. Trwało to dłuższą chwilę. Cała zawartość żołądka znalazła się na ziemi.

- Mam w samochodzie butelkę z wodą - powiedział Ihor. - Proszę się napić, to łagodzi skurcze żołądka.

Profesor popatrzył na niego z nienawiścią.

- Czy ty nic nie czujesz? - zapytał.

- Szkoda go - Ihor końcem buta trącił kuca.

Profesor pochylił się nad martwym zwierzęciem. Przez chwilę wpatrywał się w szkliste oczy, a potem poderwał się.

- Do cholery! Był naszym przyjacielem! Nie będę go kroił.

Na twarzy inspektora nie drgnął żaden mięsień. Nic nie wskazywało na to, że rozumie, czy współczuje.

- No trudno. I co z tym zrobimy?

- To nie jest to. To był On.
- Jak panu wygodniej. .
- Zawiozę go do źródła - powiedział profesor. - A pan ma chyba swoje obowiązki?
- To tutaj zakończyłem. Jadę do bazy. Do zobaczenia.
- Do zobaczenia.

Inspektor odjechał, a genetyk zarzucił sobie ciało na ramię i zaniósł je do samochodu. Było ciężkie, ważyło co najmniej sześćdziesiąt kilogramów, toteż zmęczył się. Umieścił je z tyłu i pojechał. Godzinę później był przy źródłach.

Wjechał pomiędzy dwie ściany lessowego wąwozu. Zatrzymał samochód i zatrąbił.

Wysiadł i otworzył tył półciężarówki. Odszedł kilka kroków. Czekał. Nie trwało to długo. Z krzaków zarastających nieco dalej wąwóz wyszły dwa kuce. Miały broń.

Jak zwykle.

- Po co przyjechałeś? - zapytał ten pierwszy.

Drugi nie potrafił mówić po ludzku. Jego struny głosowe były inaczej wyspecjalizowane.

- Wasz towarzysz został zastrzelony. Przywiozłem jego ciało - powiedział profesor, siląc się na spokój.

Kuce popatrzyły na niego. Czuł się niepewnie. Nie wiedział, czy są smutne, złe, czy wręcz przeciwnie, nic ich to nie obchodzi. Podejrzywał taką możliwość.

- Jak to się stało? - zapytał kuc i zajrzał do wnętrza samochodu

Patrzył spokojnie, jakby sprawdzał tożsamość. Wymienił z drugim kilka dźwięków.

Profesor nie rozumiał. Starał się kiedyś nagrywać ich wypowiedzi i analizować potem, ale ostrzegły go, żeby tego nie robił. Nie odważył się więcej.

- No - ponaglił go kuc.

Profesor przełknął ślinę.

- Wpadli w zasadzkę, on i Ihor. Ihor przeżył.

- Ryzyko dekonspiracji?

- Nie ma świadków.

Kuc skinął głową.

- Zlikwiduj ciało - powiedział.

- Jak to? Nie pogrzebiecie go?

Kuc wzruszył ramionami.

- Po co? To wasze zwyczaje. Zakop, żeby nie cuchnęło albo spal. Ihor da ci napalmu. Można powiedzieć był i nie ma go.

Profesor poczuł się źle. Bardzo źle.

- Zrobię, jak zechcecie.

Wsiadł do samochodu. Nie pożegnał się z nim nawet. Pojechał. Jadąc zastanawiał się, co on tu właściwie urobi. Rok temu, gdy spotkał w strefie pierwszego kuca, wszystko wyglądało inaczej. Był to sympatyczne zwierzęta. Inspektor Biłyj też był inny. Oczywiście strzelał do wszystkiego, co się rusza, ale potrafił myśleć także o innych rzeczach. Wyjechał na wzgórze. Z westchnieniem wyciągnął z ciężarówki ciało. Patrzył przez chwilę na leżące u jego stóp zwłoki. Kuce były ładne. Porośnięte krótką, jasnobrązową sierścią, całkiem jak konie. Ich budowa była proporcjonalna tak, jak gdyby ukształtowały się w wyniku miliona lat ewolucji. Miał wielką ochotę przeprowadzić sekcję, ale nie zrobił tego. Nie mógł. Wyciągnął łopatę i kanister napalmu. Miał własny. Położył kuca, oblał cieczą i podpalił, odsuwając się najpierw przezornie dalej. Płomień był żółty, a dym, który uniósł się przy tym, był czarny. Cząsteczki węgla z sadzy opadną na trawy i wówczas zwłoki zjednoczą się ponownie z ziemią, która dała im życie.

- Eh, szkapo - powiedział sam do siebie.

Popatrzył na zegarek. Było już późno. Strefa wieczorami i w nocy nie należała do miejsc bezpiecznych.

Ihor wjechał na szczyt mogilnika. Znajdował się w "czystej" części strefy. W części, gdzie zdarto metrową warstwę skażonej ziemi i zakopano ją w sztucznych pagórkach takich jak ten, na którym stał. Wiatr rozwiewał poły jego kurtki, licznik cicho ćwierkał w jego kieszeni. Jeszcze wiele lat miał tak ćwierkać w tych miejscach: w zadumie podszedł do krawędzi i popatrzył w dół skarpy. To przyszło nagle. Tak jak wtedy, gdy ustrzelił z kałasznikowa osę grzebczyka, która transportowała sparaliżowaną rybę, aby złożyć w niej jaja, tak i tym razem poczuł, że strefa zrobiła mu głupi dowcip. W skarpie ziała dziura takiej wielkości, że mógłby z niej wyjechać duży samochód.

Wyciągnął z bagażnika pancerfaust i reflektor halogenowy, a potem zbiegł na dół. Doświadczenie wielu lat nauczyło go, że im cięższą bronią się dysponuje, tym lepiej. Zaświecił reflektorem do środka. Brzegi tunelu pokryte były zaschniętą pianą. Wyglądała trochę jak sztuczne tworzywo. Skrobnął ją palcem. Poddała się z suchym trzaskiem. Zaświecił do środka. Korytarz opadał w głąb. Licznik opiewał trochę głośniej.

Westchnął i ruszył sztolnią, świecąc sobie wokoło. Niebawem zatrzymał się przed zawałem. Zawrócił do wyjścia. Tak jak się tego spodziewał, to, co wypełzło ze środka mogilnika, ruszyło sobie w świat. Pasma piany, choć znacznie mniej obfite znaczyły jego drogę. Piana była prawie przezroczysta i nie było jej tu dużo, co sprawiło, że nie zauważył jej od razu. Wyjął radiotelefon i włączył go. Poziom sygnał był niski, ale wywołał bazę. Kazali mu wracać. Zaklął i wrócił. Nie wiedział, że nigdy już nie pójdzie tym tropem.

Zostawił wóz na parkingu i wszedł do dyspozytorni. Dyspozytorka nie lubiła go. Sam widok jego szczerzej słowiańskiej twarzy, na której miał wymalowane wszystkie cechy charakteru, wywoływał u niej odruch wymiotny.

- Dlaczego miałem wracać? - zapytał.

- Szef chce cię zobaczyć. Czeka w swoim gabinecie.

Odwrócił się i poszedł. Dziewczyna westchnęła z ulgą. Ihor wszedł bez pukania do gabinetu pułkownika Akimowa. Akimow na jego widok skrzywił się.

- Czytałem twój ostatni raport - powiedział w zadumie. - Był niedopuszczalny.

- Że co?

- Zabitych dziesięciu. Zużycie amunicji dwadzieścia sztuk i jeden granat. Możesz wyjaśnić, co to było?

- Nie pamiętam. Kiedy?

- Przedwczoraj.

Inspektor natężył pamięć. Wreszcie wzruszył ramionami.

- Nie przypomnę sobie. Może wczoraj...

Akimow walnął pięścią w stół.

- Słuchaj no, chłopie, opanuj się. Zaczyna ci odbijać. To, co piszesz, nie nadaje się nawet do tego, żeby się tym podtrzeć! Za mało papieru. Co to byli za ludzie? Co robili? Dlaczego ich zastrzełeś? W którym kwadracie? Masz przydzieloną do patrolowania południową część strefy, a można cię spotkać wszędzie, tylko nie tam. Ostatnio zastrzełeś kilku szabrowników. Porzucasz ciała na poboczach dróg. Nie wzywasz ekipy do ściągania ich samochodów. Co się z tobą dzieje?

Biły zmarszczył brwi. Głos szefa był dla niego jak brzęczenie muchy.

- No to co z tego?

- Ewidencja do cholery. Znika gangster, to trzeba wiedzieć, czy go załatwiłeś, czy może uciekł za granicę albo się gdzieś zadekował. Tymczasem mamy ciała, jeśli je znajdziemy, i nawet nie wiemy, czy to twoja robota, czy może pozabijali się nawzajem.

- To nieważne. Ważne, że jest ich mniej.

Akimow spojrzał na niego ciężko.

- Zdaje sobie sprawę, że warunki służby są skrajnie trudne. Strefa to nie kurort wypoczynkowy Odsłużyłeś wiele tysięcy dni. W każdej chwili może cię powalić rak albo wylew. Możesz zachorować na białaczkę albo na którąś z tych nowych chorób. Dlatego też wyznaczyłem ci południe strefy, tam gdzie skażenie jest najslabsze. Ale nie chcesz, nie trzeba. Mam dla ciebie zadanie. Ostatnie przed urlopem.

- Jakim urlopem?

- Zaczniemy od tego, czy wiesz co to jest urlop.

- No pewnie. Jedzie się gdzieś w góry albo nad morze...

- Pozwolę sobie wątpić. W ciągu ostatnich siedmiu lat wzięłeś dwa razy po trzy dni wolnego. Za pierwszym razem po to, żeby pomóc bratu rozprawić się z mafią w Pskowie, nie wiem, czy cię to ucieszy, ale mimo że mijają już cztery lata, wskaźnik przestępstw nadal jest tam zbliżony do zera. Za drugim razem pojechałeś pomóc kumpłowi w sprawie z bandą, która chciała zdzierać haracze z jego knajpy.

Trzydzieści trupów. Nawet nie wiesz, ile kosztowało, żeby to zatuszować.

Ihor uśmiechnął się kwaśno.

- W sumie to nie istotne. Tym razem pojedziesz na miesiąc do sanatorium sądowego w Gaćkowie. I spluwę zostawisz tutaj.

- Zadanie? - zapytał Ihor.

- Coś zabija ludzi. Wiesz, gdzie są gorące źródła? Pozabijano tam około osiemdziesięciu samosielców.

- Tych, co mieli zmutancjałe dzieci?

- Właśnie. Trzy wioski. Zabito ich z broni maszynowej, zabudowania spalono.

Zbadaj to. Znalezione tam cholernie dziwne ślady.

- Mam jeszcze coś.

- Tak?

- Coś wylazło z mogilnika na czwartym kilometrze w sektorze dwadzieścia przez sto osiem. Było takie jak pociąg, sądząc po dziurze, którą zostawiło. I ciągnęło za sobą śluz jak ślimak.

- Jak ślimak...Może być niebezpieczne?

- Tak. Jak wszystko tutaj.

- Sprawdź to przy okazji.

Ihor wyszedł bez pożegnania. Akimow zmarszczył brwi w zadumie.

- Stacza się - powiedział sam do siebie. - Uszkodzenia mózgu od promieniowania, a może guz.

Potem pomyślał, że to przecież inspektor mógł pozabijać nielegalnych osadników. Ale to mimo wszystko nie pasowało do niego.

Spotkali się na wzgórzach. Inspektor i profesor.

- Dlaczego mnie wezwałeś? - zapytał profesor.

- Mamy problem. Cholerny problem - powiedział Ihor.

Z wozu wyciągnął flaszkę i pociągnął kilka łyków. Podał profesorowi. Ten podziękował gestem.

- W czym problem?

- Miał pan racje.

- Z kucami?

- Tak. Zaczęły zabijać ludzi. Na własną rękę. Trzy wsie samosielców. Osiemdziesiąt osób. Jak leci. Nawet niemowlęta.

- Zbierają doświadczenie... Nie należało im pomagać.

- To prawda nie należało. Teraz jest za późno. Dla nas i dla nich. Wkrótce zapłoną nowe wioski.

- Kiedy ostatnio widziałeś żrebięta?
- Wiele miesięcy temu.
- Ja też. Nie dopuszczają nas do swojej siedziby, ale mam jeszcze jedno spostrzeżenie. Słyszałeś o Piołunie Beta?
- Nowy narkotyk tysiąc razy silniejszy niż heroina. Wywołuje wielogodzinne transy, uzależnia po pierwszym razie, zabija po trzecim, czwartym. Zabił trzy tysiące narkomanów w Kijowie w ciągu tygodnia. Pięćset dolarów działka. Ale każdy, kto raz to weźmie, stanie na uszach, żeby powtórzyć i koszt nie grają roli. Świadomość śmierci też nie.
- Widzisz inspektorze, badałem dawkę tego.
- I co?
- Strasznie wymyślna molekula. Kilkaset związków chemicznych. I wyprodukowano ją w strefie.
- Jest pan pewien?
- Tak. I chyba wiem, kto mógłby coś takiego wymyślić. I nawet wiem po co.
- Po co. Bo myśli pan o kucach.
- Ich musi być więcej niż dwadzieścia. Nie sądzisz?
- Jeśli było ich osiemnaście, to po pół roku mogą mieć jeszcze z osiem nowych żrebiąt.
- Są zupełnie małe. Ale nie policzyłeś tych, które dorastały już, jak się z nimi spotkaliśmy.
- To znaczy, że, niech policzę, było ich chyba z dziesięć.
- Ja widziałem koło dwunastu. Jeśli one są już w odpowiednim wieku, żeby się ożrebić.
- To znaczy jakieś trzydzieści i z dwanaście maluchów.
- Tak. Przy tej inteligencji są gotowe, by przejąć władzę nad światem.
- Wolne żarty. Moje pytanie o narkotyki?
- Wybiły dla wprawy trzy wioski. Produkują jakieś świństwa. To już nie potrwa długo. Kijów to była tylko przygrywka Próba sił. Tak jak z osadnikami.
Sprawdzają, co umieją, zanim zabiorą się na poważnie do roboty. Trzeba się liczyć także z tym, że zginiemy jako pierwsi. Znamy je zbyt dobrze. Możemy domyślać się ich słabości i jesteśmy im już niepotrzebni.
- Ile mamy czasu?
- Hmm... Biorą nas za idiotów i faktycznie w porównaniu z nimi nie wypadamy najlepiej. Może rok. Może i to nie. Może zechcą pozbyć się nas jutro.
- Zniknięcie genetyka i inspektora mogłoby wywołać akcje poszukiwawczą, która zagroziłaby im... Patrzyli sobie w oczy. Długo.
- Myślę, że jesteśmy zgodni co do celu. A jakie środki? - zapytał Ihor.
- Sądzę, że jest metoda. Słyszałeś o tym wirusie, który ostatnio grasuje na wschodzie republiki?
- Coś mi się obilo o uszy. Ale przecież odizolowano nosicieli i nie ma niebezpieczeństwa. Profesor uśmiechnął się dziwnie.
- On zabija w ciągu dwudziestu godzin od zarażenia. Zawsze zabija. Chyba, że ktoś się zaszczepił.
- Tak. Zaszczepił...
- Naczelnym epidemiolog kraju jest mi winien przysługę. Jeden miał fałszywy alarm. Inspektor Biłyj zatrzymał samochód w wąwozie i dał sygnał klaksonem. Z krzaków wylazł kuc.
- Co pana sprowadza? - zapytał.
Biłyj miał ochotę się uśmiechnąć, ale się bał.
- Pamiętajcie ostrzeżenie sprzed dwu dni?
- Tak. Telewizja podała informacje o nieznanej epidemii. Mutacja wirusa dżumy. Podjęliśmy środki zaradcze.

- Jest szczepionka: działa w dziewięciu przypadkach na dziesięć. Przywiozłem wam piętnaście dawek. Zaszczepcie chociaż źrebięta. Wprawdzie raczej tu nie dotrze, ale uważajcie na siebie. I gotujcie wodę do picia...

Koń wziął ostrożnie paczkę i otworzył. Ichorowi robiło się niedobrze, gdy patrzył, jak kuce przy czymś majstrują. Ich palce były znacznie grubsze i miały mniejszą ilość członów. Wewnątrz znajdowały się ampułki ze szczepionką.

- Przydałoby się więcej - powiedział.

- Ile?

- Jeszcze dwadzieścia.

- Spróbuję. Ciężko o to.

Kuc kiwnął głową i odszedł. Nawet nie podziękował. Może i lepiej się stało. Dwie doby później Ihor i Sergiej zeszli do piwnic, w których mieszkały konie. Oni byli zaszczepieni prawdziwą szczepionką, a nie koncentratem wyizolowanych wirusów dżumy. I mieli dodatkowo specjalne maski z filtrami. Kuce leżały tak, jak padły. Ich ciała okrywały rozległe rany. Śmierć zebrała obfite żniwo.

- W sumie to mi ich szkoda - powiedział Ihor. - Tysiąc IQ nie wystarczy, jak nie zna się kilku nieczystych zagrań.

- Mnie też. Poświęciłem dwa lata życia, żeby wykierować ich na ludzi. - głos profesora trochę się łamał.

- Trudno nie udało się. Nie żyją. Chyba są wszystkie.

- Na to wygląda. Spalimy to miejsce, wole nie myśleć, co by się stało, gdyby to świństwo zmutowało raz jeszcze. Rozmowę przerwał im dziwny dźwięk. Dobiał gdzieś z daleka. Ruszyli w jego stronę z bronią gotową do strzału. W pomieszczeniu na końcu korytarza siedziało w kojcu pięć kilkudniowych źrebaków.

To one rżały.

- O cholera - powiedział Ihor. - O cholera... Profesor patrzył w milczeniu.

- Uodporniły się?

- Może nie miały od kogo się zarazić. Zabijemy je?

Twarz uczonego ociągnęła się

- Czy nie myślałeś kiedyś, że za dużo już tego zabijania? Ihor patrzył na źrebięta. Jego ostre rysy zmiękły. W oczach zamigotało coś. Wspomnienie dawnych pięknych myśli o doskonałej cywilizacji koni. A on przecież kiedyś dawno temu lubił konie.

- Nie rozumieją nas?

- Są jeszcze za małe: Cztery, pięć dni. Ale za dwa tygodnie zrozumieją. Ihor westchnął ciężko.

- Spróbujemy jeszcze raz?

- A mamy prawo? I co będzie, jak zapytają, skąd się wzięły?

- Nakłamiemy coś.

- Budować cywilizację opartą na kłamstwie...

- Jeśli nie da się inaczej. Musimy je stąd zabrać i zaszczepić. Poza tym są pewnie głodne...

Ruszyli do wyjścia. Profesor wziął dwa, a Ihor jako silniejszy trzy.

Pułkownik Akimow pluł sobie w brodę do końca życia, że wypchnął inspektora Bięgo na urlop, inspektor bowiem nigdy już z tego urlopu nie wrócił i nie udało się ustalić, co się z nim stało. Może go zabili, a może miał dość zabijania.

Łańcuchy założone na koła dały lód rzeki. Tu na Syberii była już zima. Byli w drodze już dziesiąty dzień. Siedem tysięcy kilometrów. Półciężarówka wyglądała fatalnie. Ale ciągle jeszcze dobrze się sprawowała. Zatrzymali się na skraju pięknego cedrowego lasu. Siergiej wysiadł i rozejrzał się. Na rzece kawałek stąd był niewielki próg. Bedzie gdzie założyć małą elektrownię. Las dostarczy orzechów, rzeka ryb. Kuce były jeszcze małe, ale nim skończy się

te pół tony mleka w proszku, będą już jadły normalnie trawę. Zanim nastaną mrozy, zdążą zbudować chatę dla siebie i dla nich.

- Tutaj? - zapytał były inspektor.

Profesor rozejrzył się jeszcze raz.

- Tutaj.

- Wsiadajcie dzieciaki - powiedział Ihor, otwierając tylne drzwi.

Pięć koników ubranych w ciepłe dresy wygramoliło się na śnieg. Rżały zachwycone.

- Tu będziemy teraz mieszkać - powiedział.

Były jeszcze za małe, żeby go zrozumieć, ale słuchały uważnie. Wiatr niósł od strony lasu resztki jesiennych zapachów. Ten świat był może mniej fascynujący niż strefa, ale za to bezpieczniejszy, spokojniejszy. Koniki zaczęły tarzać się w śniegu. Profesor westchnął, zza pudła z książkami dla dzieci wydobyl piłę. Dom dopiero trzeba było zbudować. Ihor uśmiechnął się

- Pomyśl. Musimy wyprostować nieco nasze biografie, jeśli mamy robić za dobrych wujaszków ich cywilizacji, którym kiedyś może postawią pomniki.

- Co masz na myśli?

- Ja - wielokrotny morderca. Ty wyizolowałeś wirus, żeby zabić ich rodziców.

Zagonili kucyki do wozu i weszli na wzgórze, by ściąć pierwsze drzewo na chatę. Robota szła im gładko, a piłowanie było przyjemnością. Profesor ku swemu zdumieniu odkrył, że to potrafi. Drzewo zważyło się z jękiem na ziemię.

Zamknięte w wozie kucyki rżały z emocji.

- Jesteś przekonany, że słusznie robimy? - zapytał profesor.

- Z tą chatą?

- Nie, ogólnie.

- Kiedyś powiedziałem ci, że to ósmy dzień stworzenia. Potem myślałem, że to dzień sądu. Ale teraz wróciłem do moich wcześniejszych koncepcji.